



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.





## Lipiec i Sierpień.

W gorących blaskach słonecznej powodzi  
 Bogaty w kwiecie, kłosy i jagody,  
 Oto nam Lipiec upalny nadchodzi,  
 I zdobi lasy, pola i ogrody  
 A wszędy sypie hojnie swoje dary,  
 Za skrętną pracę trudy i ofiary.

Już pobrząkują w łąkach ostre kosy,  
 I białe grabie dokoła migają,  
 A nim obeschną trawy z rannej rosy,  
 Dziewczęta w lesie jagódek szukają.  
 Krząta się pszczołka do roboty skora,  
 Bo z wonnej lipy miodek zbierać pora.

\* \* \*

Śpieszą kosiarze, zaczyna się żniwo,  
 I bujne legło na ziemi już zboże,  
 Dalej dziewczęta, dalejże, a żywo,  
 Wiązać je w snopki! Bóg dobry pomoże  
 Zwieść do stodoły ziarno jako trzeba —  
 Gdy nad polami jasny błękit nieba.

Chociaż w sierpniowym, dokuczliwym skwarze  
 Pot skrapla czoła i ciężka robota,  
 Przecież nie skarżą się pilni żniwiarze,  
 Nawet do pieśni znajdzie się ochota.  
 I na wyścigi ten i ów się spieszy —  
 I na wesołe dożynki się cieszy.  
 Bo gdy po żniwach, znów dawny dostatek  
 Wróci pod strzechę naszych wiejskich chatek.

Dzięki ci Boże, za każdy dzień biały,  
 Za Opatrzności Twej łaski widoczne,  
 Za polne zioła, za wody przezroczone  
 I za te kłosy co nam się dostały.  
 Daj Panie Boże plenność naszej roli,  
 Nie żałuj deszczu i nie chowaj słońka,  
 Przyjm nasze prośby jako pieśń skowronka,  
 Chroń nas od głodu i wszelkiej niedoli.  
 Gdy ścięte zboża padną na pokosy,  
 Niechaj przyjazne będą nam Niebiosy.

## Z DZIEJÓW CYWILIZACYI.

### OGIEŃ

#### na usługach człowieka.

Kiedy dym przestaje się wydzielać z otworu, możemy wydobyć resztki trocin, które zamieniły się na okruchy węglowe. Widzimy więc, że drzewo zawiera w sobie rozmaite gazy palne i węgiel. Na kominie odhywa się zupełnie to samo, co tutaj, tylko, że gazy zapalają się tuż przy drzewie, a węgiel rozżarza się. Kiedy drzewo splonie do szczytu, znajdujemy garść popiołu, który jest niepalną mieszaniną rozmaitych ciał, zawartych w drzewie.

Gazy palące się dają to, co nazywamy płomieniem. Zbliźmy do płomienia zimny talerz, a ten pokryje się sadzą, czyli miążskim pyłem węglowym. Dowód to, że węgiel znajduje się w płomieniu i jego to cząsteczki drobnutkie rozpalają się do białości i wydają światło.

Z płomienia oprócz węgla, tworzącego kopeć i dym, ulatuje jeszcze para wodna; chcąc się o tem przekonać, umieszczamy palącą się świecę pod zimnym kloszem szklanym, a ściany jego wewnętrzne pokryją się wnet kroplami rosy.

Woda tworzy się zawsze ilekroć płonie lekki, przezroczysty, bezwonny gaz, nazwany wodorem. Z tego wniosek, że w płomieniu znajduje się oprócz węgla i wodór. Rzeczywiście, owe gazy, powstające w skutek ogrzewania drzewa, są po większej części węglowodorami, t. j. ciałami zawierającymi węgiel złączony chemicznie z wodorem.

Za przykład takiego węglowodoru gazowego może posłużyć tak zwany gaz błotny, wydzielający się z bagien, a płynnego — nafta.

Podobnie płonie węgiel kamienny i torf. Z pierwszego otrzymujemy gaz, służący do oświetlania ulic po miastach. W tym celu prażymy węgiel w żelaznych kotłach, a wydobywające się gazy zamykamy w zbiorniku, skąd rurami rozchodzą się do latarni.

Zaden ogień nie może się palić bez dostępu powietrza; weźmy np. ogarek świecy, zgaśnie niebawem, skoro go umieścimy w przykrytym talerzem słoju. Dlaczego się to dzieje? Dla tego, że do palenia jest niezbędny pewien gaz, zawarty w powietrzu, a nazwany *tlenem* od *tlé się*, gaz ten niewidzialny, bezwonny, podtrzymuje także nasze oddychanie.

Palenie się zatem jest w gruncie rzeczy *łączenie się ciał palących z tlenem powietrza*. Łącząc się z tlenem węgiel daje ciężki gaz — dwutlenek węgla czyli kwas węglowy, ten sam, który znajduje się w wodzie sodowej; wodór paląc się tworzy parę wodną, a przy ochłodzeniu się wody, która jest chemicznym połączeniem tlenu i wodoru.

Ogień jest, że się tak wyrazimy, duszą naszego przemyślnego, naszej cywilizacji, która zapewnia nam dobrobyt! Weźmy szkło naprzykład. Podania uczą, że Fenicyjanie, naród starożytny a wsławiony handlem i odkryciami, doszli tajemniczy wyrobu szkła następującym wypadkiem: Oto rozpalili razu pewnego ogień na piasku i wrzucili doń sody, którą mieli przy sobie. Kiedy stos zagasł, znaleźli w popiele twarde, przezroczyste i kruche bryły, które nie były niczem innym, tylko szkłem. Rzeczywiście, szkło wyrabiamy dziś przez stopienie mieszaniny piasku z sodą. Gdyby nawet podanie powyższe było zmyślonem, to niemniej cenny ten materiał służący do tylu celów, otrzymujemy za współdziałaniem ognia.

Ogień, jak powiedziałem, służy do wypalania cegieł, z których stawiamy przy pomocy wapna, nasze domy.

Ale i samo wapno, używane w murarstwie, otrzymujemy dzięki ogniowi. Do wielkiego pieca wrzucamy skalę wapienną, która jest chemicznem, a więc ściślem połączeniem niegaszonego wapna z pewnym gazem, zwanym dwutlenkiem węgla, albo kwasem węglanym. Gorąco pieca wypędza gaz i pozostawia wapno, które następnie zlasowane t. j. zgaszone wodą i pomieszczone z piaskiem, dostarcza znanej zaprawy murarskiej. Przyciąga ono z biegiem czasów kwas węglany z powietrza i w końcu zamienia się znów w twarde, skaliste ciało.

W innych, jeszcze większych piecach, wypalamy gips, wytapiamy siarkę, i metale, głównie zaś żelazo, którego dzisiaj zużywamy na całym świecie miliony centnarów corocznie.



Cały ten wspaniały przemysł metalurgiczny i górniczy nie istniałby wcale, gdyby nie ogień.

Najpotężniejszy przewrót w stosunkach ludzkich rozpoczął się z chwilą zastosowania w przemyśle maszyny parowej, która w gruncie rzeczy jest przyrządem zamieniającym siłę ognia, albo raczej siłę ciepła, na siłę mechaniczną.

(d. n.)

Władysław Umiński.

## Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Nie bój się, nie zginął! rzucił Olszowski.

— Rozpatrzmy je! — rzekł król budząc się z zamyslenia.

Teraz chłopak rzucił mu się do nóg z całą serdecznością wołając:

— Oj, miłościwy królu, bądźże też ojcem mnie biednemu sierociel!

Na obojętną twarz Michała wystąpił niebywały dotąd wyraz rozrzewnienia. Nic dostrzegł go Jasiiek, zajęty swymi myślami, dostrzegł go za to podkanclerzy i z zadowoleniem zanotował sobie w pamięci, dodając w myśli:

— Przecie, że się coś budzi w tej mumii, będziemy wiedzieli czem ją ująć można.

Niewdźyd tymczasem pamiętny nauk matki, iż wszystkim za dobre słowo powinien dziękować, przystąpił do Olszowskiego i zdrową swą ręką objął go nisko za kolana.

— Dostyc już tego — rzucił przez zęby podkanclerzy i dał znak, żeby się oddalił.

Niewdźyd jednak nie odchodził, jeno pokłoniwszy się raz drugi, rzekł pokazując swe ubranie:

— Chciałbym ten przodzievek oddać staroście, kiedyś od niego odstaje i podziękować mu za chleb, com jadł u niego, jeno nie wiem gdzie go szukać. Filip mówił, że do cna gdzieś przepadł...

— Odejdź! nie twoja w tem głowa! — rzekł podkanclerz i spojrzal takim wzrokiem, że chociaż młodzieniec miał szczerą ochotę jeszcze się więcej rozgadać, odwrócił się i powolnym krokiem wyszedł z komnaty.

— Zabawna figura — rzekł król, przypatrując się kornkowym swym mankietom.

— Prosta i szczerą naturą, jak w ogóle całej szlachty, która gotowa jest oddać gardło za najjaśniejszego pana, jako swego ciekta.

Michał pominął milczeniem słowa Olszowskiego.

Podkanclerzy zaś mówił dalej:

— Na tej szlachcie monarcha powinien się oprzeć, wyzyskać jej dzielność na korzyść swoją i państwa; trzeba więc dać jej pewne przywileje, chcąc utrzymać się na tronie i podźwignąć świetność upadającej korony...

— Którą mi włożono, jak temu chłopakowi dla zabawki — rzucił król Michał, wskazując na drzwi przez które wyszedł Niewdźyd.

Zdobywszy się na tę energiczną odpowiedź, wstał i szybszym niż zwykle krokiem wyszedł z komnaty.

— Niewdzięcznik! syknął podkanclerzy z pogardliwym uśmiechem.

Potem zaś w duszy dodał.

— Chcesz czy nie chcesz, musisz tańcować według mojej woli... lalko bezduszna! I wyszedł przeciwnymi drzwiami.

### VII.

Wypadki poszły torem uplanowanym przez zręcznego i chciwego władcy Olszowskiego.

— Taki król jakim jest nasz Michał, może tylko uszczęśliwić szlachtę, pójdzie za naszym głosem, podniesie przewagę szlachty, a królewicza z Prażmowskim i Sobieskim na czele muszą usunąć się z drogi — przekładał podkanclerzy.

— Niby z prymasem i hetmanem?... — zapytał znany nam już Rogala, który wśród szlachty rej wodził, czem zwrócił na siebie oczy baczne na wszystko podkanclerzego.

Olszowski kiwnął głową potakująco.

— Muszą ustąpić — krzyknął Joachim Wycierski, tegi wąsal, znany krzykała i rębacz na wszystkich sejmikach. Trzymał się klamki Olszowskiego, jako potentata, który wrzekomo trzymał stronę szlachty, a przy którym można było w coraz większe znaczenie urastać.

Tak jednając sobie i królowi stronników, podkanclerzy pragnął doprowadzić do celu swoje zamiary, ukoronować króla, sobie zaś zapewnić najwyższe w kraju stanowisko. Mimo walki z przeciwnym stronnictwem, Olszowski rzeczywiście wzrastał w potęgę i znaczenie.

Urastało stronnictwo, urastał też i dwór króla Michała. Król, nawykły do oszczędności, całej tej rzeszy nie potrzebował, miał jednak z łaski Olszowskiego otoczenie, jakiego wymagała świetność tronu i ceremoniał oddawna przyjęty.

Niewdźyd na tym dworze nie miał żadnego określonego stanowiska, ani żadnej oznaczonej funkcji do spełniania.

— Co ja mam robić, czego się jąć? — zapytał raz marszałka dworu Dziegiciewskiego.

— Masz być na zawołanie króla! — odparł mu tenże.

— Kiedyś stoję już pół dnia, a król mnie nie woła — rzekł z całą prostotą Jasiiek.

— Przedewszystkiem za dużo gadasz, a wiedz też o tem, że obowiązkiem dworzanina słuchać, patrzeć i milczeć — mówił marszałek, który podówczas był w dobrym humorze i nie ofuknął pytającego.

Wykład marszałka nie bardzo przypadł do smaku ruchliwemu chłopakowi, a choć jako mazur, nie był z natury bardzo pochopnym do pracy, próżniactwo jednak, jakie spotkał u Próžnołęckiego, a teraz znowu na dworze królewskim przechodziło wszelkie jego wyobrażenie.

Cóż więc miał robić, godził się na pozór ze swym losem i całymi dniami siedział w komnacie, przysłuchując się rozmowom, przypatrując się wchodzącym i wychodzącym,





Karta tytułowa z pierwszego wydania Biblii ks. Wujka.

lub gawędząc z podobnymi sobie próżniakami, zalegającymi antykamerę i komnaty królewskiego zamku.

— Żeby choć wylecieć i miasto obaczyć albo, żeby jaki swojak się przywłąkroił... wszyscy obcy i obcy — myślał sobie wśród nudów oczekiwania.

Trafiło się przecie ku wielkiej radości Jaśka, że go marszałek wysłał aż za kościół Świętokrzyski, na folwark, do jednego z księży po dryakiew do palca, który sobie jakimś wypadkiem nadwyreżył.

Chłopak nie wiedział ani gdzie folwark, ani też w kaplicy Świętokrzyskiej nigdy nie był. Zadowolony jednak, że raz przecie wyjrzy za mury zamku, wybiegł z taką miną, jak gdyby całe miasto znał doskonale.

— Spytam się pierwszego lepszego, to mi powie — pomyślał sobie, stojąc przed zamkiem i przypatrując się kolumnie Zygmunta III.

Łatwo jednak było pomyśleć „zapytam się,” a nie łatwo wykonać.

Ludzi roiło się koło zamku jak mrowia, ale każdy spieszył w swoją stronę i nie słuchał nawet pytania.

Zwrócił się do jakiegoś poważnego jegomościa, ten jednak zamiast odpowiedzi ofuknął go.

— Z drogi, smarkaczu jakiś!

Jasiek usunął się, ale nie zbity z tropu, zastąpił drogę jejmości, idącej z dwoma młodemi panienkami i uchyliwszy grzecznie czapeczki zapytał:

— Proszę jejmości dobrodziejki, kędy jest kościół Świętokrzyski.

— A ty zbereźniku, będziesz to ludziom drogę zastępował, a do domu Bożego nie znasz nawet drogi! — krzyknęła zaperzona niewiasta.

— Czego ona się złości? — pomyślał sobie Jasiek — toć, gdybym wiedział, tobym się nie pytał.

I ruszył na prawo na los szczęścia.

Niebawem spotkał dwóch chłopaków, idących od Świętojańskiej ulicy; nieśli na drągu buty i przyśpiewywali wesoło.

Nagle stanęła mu w oczach jego pierwsza wędrownica i Kunda szewczanka, która go poczęstowała chlebem i twarogiem.

— Pocziwa dziewczucha, co ona też robi, obiecałem jej gościńca. Bogać tam przyniosę! — przez myśl mu błyskawicą przemknęło.

Nie bawił się przecie tą myślą, jeno zapytał.

Mościewy, kędyż droga do kościoła Świętokrzyskiego?

— Fiu, fiu, taki strojny panicz, a nie wie drogi! — zaśmiał się jeden, pokazując białe zęby. I gwiznął głośno, aż się rozległo do koła.

Ale drugi kontent, że mu się gratka gawędy wydarzyła, a może też chcąc odpocząć i pogapić się nieco, przystanął i zapytał:

— A dokądże wola?

— Na folwark Świętokrzyski — odpowiedział Jasiek.

— Toć nie tędy droga, ale tam pod górę, prościuchno; to kawał drogi! — mówił szewczyk.

— Toć się zajdzie...

(d. c. n.)

## BIBLIA KS. WUJKA.

Nieraz słyszeliście zapewno o ludziach, którzy z zapalem i gorliwością zbierają stare książki, oraz o księgozbiorach, które szczycą się posiadaniem tak zwanych „białych kruków.” Wartość tych starych druków nietylko polega na ich treści, gdyż w większości wypadków istnieją nowe, późniejsze i współczesne wydania wszystkich cenniejszych rzeczy, ale w tem, że takie stare egzemplarze bywają wielką rzadkością i stanowią nietylko pamiątkę, jako przedmiot, który przetrwał kilka wieków, lecz zarazem świadczą



Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.”



Rougemont płynie z rodziną dzikich z swej wysepki na ląd stały.

o rozwoju sztuki drukarskiej i rytowniczej, o papierze, a zarazem guście, pisowni i języku epoki, z której pochodzą.

Podajemy tu kartę tytułową pierwszego wydania „Biblii Świętej” w przekładzie ks. Wujka, która właśnie przed 300 laty, bo w r. 1599 opuściła tłocznię drukarni Łazarewicza w Krakowie. Książdz Jakób Wujek, uczony kłpian i pisarz, urodził się r. 1540 w Wągrowcu, kształcił się w akademii krakowskiej i w 19 roku życia został już magistrem filozofii. Po sześcioletnim pobycie w Wiedniu i Rzymie powrócił do kraju, gdzie wkrótce zasłynął, jako profesor, pisarz i kaznodzieja; zmarł w r. 1597. Głównem wiekopomnem dziełem ks. Wujka, jest właśnie tłumaczenie na język polski całego Pisma Świętego, dokonane z polecenia Stolicy Apostolskiej. Nietylko zadość czyniło to dzieło potrzebom duchowym wiernych, ale jest trwałym pomnikiem pięknego i czystego języka.

Pierwsze wydanie Biblii z r. 1599, ozdobione podaną przez nas kartą tytułową, obejmuje 1479 stronnic in-folio, drukowane czcionkami gotyckimi we dwie kolumny, a niektóre działy wstępu czcionkami łacińskimi.

## MIŁOŚĆ OJCOWSKA.

**W** dawnych czasach głównym celem życia mężom była wojna, ideałem człowieka rycerz; królowie wiedli bez ustanne spory między sobą, ustawicznie coś sobie wydzierali.

Ludwik XII, król francuski, zwany ojcem ludu, prowadził mimo to bardzo wiele wojen, których przyczyną by-

ła głównie chciwość i ambicja. Bogate i piękne królestwo Neapolitańskie nęciło go, lecz wiedząc, że go własnymi siłami nie podbije, zapewniwszy sobie pomoc króla hiszpańskiego Ferdynanda Katolickiego, rozpoczął wojnę.

W 1500 r. popłynęły do Włoch dwie floty: hiszpańska, pod wodzą dzielnego Gonzalwa z Korduby i francuska pod wodzą samego króla; prócz tego lądem poprowadził znaczne siły waleczny wódz francuski d'Aubigny. Razem wojsko całe wynosiło około 23,000 ludzi. Ujrawszy taką liczbę nieprzyjaciół, zbliżających się do Neapolu, Fryderyk, król Obojga Sycylii, stracił odwagę i po pierwszej porażce poddał się Francuzom, a gdy Ludwik ofiarował mu w zamian za królestwo, niewielkie księstwo, zgodził się opuścić natychmiast Neapol. Mimo to wojna ciągnęła się dalej, gdyż między zwycięzcami zaszły nieporozumienia. Wzywając do pomocy Ferdynanda Katolickiego, Ludwik obiecał, iż podzieli się z nim zdobyczą, tymczasem, gdy Hiszpanie zajęli część królestwa, Ludwik posłał wódzowi hiszpańskiemu wezwanie, aby w przeciągu 24 godzin ustąpił z miejsc zajętych, ten jednak, powołując się na umowę, odpowiedział, iż nie ustąpi.

Rozpoczęła się więc druga wojna; pod Cevignolą starli się z sobą byli sprzymierzeńcy, Hiszpanie odnieśli zwycięstwo, przeszło 3,000 Francuzów padło na polu bitwy, a między nimi dzielny książę Nemours.

W szeregach Ludwika znajdował się wówczas zacny bardzo człowiek, kapitan De la Marck, ojciec dwóch synów, którzy służyli w jego oddziale. Lubo zaborecza ta wyprawa nie była im po myśli, popierali jednak wszyscy trzej walecznie sprawę Ludwika XII, pomni, iż złożyli mu przysięgę wierności.

W chwili najzaciętszej bitwy De la Marck dowiedział się, że obaj jego synowie, broniąc sztandaru, padli okryci ranami, że tuż przy nich toczy się zacięta walka. Nie odpowiedziawszy ani słowa temu, który przyniósł mu tę wieść bolesną, kapitan skinął na kilku żołnierzy ze swego hufca.

Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.”



Dzicy ze zdumieniem oglądają ślady stóp Rougemonta.



— Do chorągwi — krzyknął i z obnażonemi szablami poczęli przedzierać się przez szeregi Hiszpanów. Wkrótce, walcząc do upadłego, De la Marek dotarł do synów, swoich, leżących na ziemi bez znaku życia. Nie zważając na grożące mu wciąż niebezpieczeństwo, bo i kule świślały mu nad głową i ostre miecze migwały przed oczami, jak błyskawice wśród burzy, i kopyta końskie prawie następowały na plecy, zeskokczył ze swego wierzchowca, podjął zemdlonych synów, złożył na własnym siodle, poczem ujawszy konia za uzdę, zwrócił się w stronę swego obozu.

Setki nieprzyjaciół otaczało go, on się jednak nie wahał, postanawiając utorować sobie drogę szablą.

Lecz miłość ojcowska wzruszyła wrogów, Hiszpanie rozstąpili się przed nim z szacunkiem i miecze pospuszczali. Dzielny ten ojciec wyrwał dzieci ze szponów śmierci, która groziła im niechybnie na polu bitwy, gdy walka wrzała jeszcze i hufce nacierały na siebie, tratując poległych i rannych.

Dobry czyn bywa najczęściej nagrodzony, ale zły przędzej, czy później karę pociąga za sobą...

Gonzalwa z Korduby odniósł zwycięstwo i wszedł w tryumfie do Neapolu, gdzie mieszkańcy powitali go radośnie i złożyli przysięgę wierności Ferdynandowi Katolickiemu; Ludwika XII nie chcieli mieć królem, bo on tę wojnę wywołał, a przytem nie lubili zdawna Francuzów.

Ludwik XII zapalał gniewem; zebrał nowe siły i wkroczył napowrót do południowych Włoch. Trzydzieści tysięcy ludzi otoczyło zamknięty w obozie pod San Genaro hufiec Hiszpanów, którzy i połowy tej liczby nie mieli, ale bronili się tak dzielnie, że po półrocznym oblężeniu Francuzi zdziesiątkowani przez pociski wroga i choroby, wrócili zgnębieni do kraju. Ludwik upokorzony uznać musiał, że nie zawsze przewaga siły zwycięża i zawarł w Lyonie r. 1504 pokój z Ferdynandem Katolickim, na mocy którego królestwo Obojga Sycylii zostało uznane za posiadłość hiszpańską i z górą przez lat 250 należało do Hiszpanii.

T. I.

## WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

— A czemu to panusia panienci Reni czasami do nas nie przywiezie; niechby nas poznała i my ją także — rzekła naraz starszka.

— Młode to jeszcze, niech się teraz bawi, goni motyle i kwiatki zrywa — odparła Ludwika — ma liczkę gładkie i wesołość ptaszka, ludzie ją za to kochają; gdy starszą będzie, zacnie ludziom dobrze czynić, wtedy pokochają ją za jej dobre serce.

Nie trafiły wszakże te słowa starszeczki do przekonania, poruszyła przecząco głową i odezwała się nieśmiało:

— Mnie się widzi, że nie zawadzi i młodej, gdy ją ludzie nie tylko za gładkie liczko i wesołość kochają, ale i dla tego, że dobra. Lecz pani mądrzejsza ode mnie, musi pani wiedzieć dla czego tak mówi.

— Wy macie słusność, matucho — odparła Ludwika — bądźcie spokojni, gdy lato nas pożegna, przywiezę tutaj kiedy pannę Renię, a z nią drugą jeszcze: sierotę, siostrzenicę pana Wątownskiego; obie muszę wyprowadzić na dobre i rozumne kobiety, aby je ludzie nie tylko dla gładkiego liczka kochali.

Wróciwszy do pięciu stawów, Ludwika zastała jeszcze dziewczynki zajęte połowem ryb; ujrawszy ją zdala, Renia podniosła w górę mały koszyczek z sitowia upleciony.

— Mam dwa karasie, będziesz miała dziś na obiad ulubioną swoją potrawę — zawołała — oba ja złowiłam, a Cesia ani jednej malutkiej nawet rybki.

— Pierwsza lekcya niefortunna, druga może będzie lepszą — odparła Cesia, i podniosła się z wolna.

— Wracajmy już do domu — rzekła Ludwika.

Gdy wróciły, Ludwika pospieszyła do kuchni przekonać się, kiedy obiad będzie gotowy i karaski kazać usmażyć, dziewczynki poszły zrzucić ranne szlafroczyki i przebrać się stosownie, obiad złączył dopiero wszystkich razem.

— Gdy żniwa ukończę — rzekł pan Wątownski — od damy wszędzie wizyty w sąsiedztwie — przedstawię cię moim znajomym, jako drugą moją córkę. W Lisicach mieszkają twoje dwie cioteczne babki, przypominasz je sobie?

— Jak przez mgłę — odparła Cesia. — Babcia Szarska i babcia Domicela, czy o nich wuj mówi?

Pan Wątownski skinął potwierdzająco głową.

— Właściwie Szarska jest waszą babką, a Domicela prababką — rzekł. — Panna Domicela nie miała rodzeństwa, więc zamieszkała przy siostrzenicy, z której matką żyła w serdecznych stosunkach i prawdopodobnie panie te nie rozłączą się do końca życia. Ty z Renią też zawsze razem mieszkać będziesz, jeśli za mąż nie pójdziesz; wyznaczę ci miesięczną pensję, jak Reni, żeby ci na niczem nie brakło, mam nadzieję, że pensya ta wystarczy ci nie tylko na konieczne potrzeby lecz i na wygody.

To powiedziawszy, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Jaki wuj dobry — rzekła Cesia głosem wzruszonym.

Gdyby był kto z obecnych przy stole, spojrział w tej chwili na pannę Ludwikę, byłby się przestraszył wyrazem złośliwej ironii, jaki zesześcił jej twarz.

— Nie będzie z tej mąki chleba — rzekła sama do siebie i oddaliła się nagle, tłomacząc się, iż ząb ją zabolął.

— Nie będzie z tej mąki chleba — powtórzyła głośno, wszedłszy do siebie. — Malowana lala, bez ambicyi, do próżniactwa stworzona i basta.

Tymczasem dziewczynki ani domyślając się, z jakiego powodu p. Ludwika nie dokończyła obiadu, postanowiły przejechać się konno, gdyż słońce skryło się za obłoki i gorąco przestało dokuczać. Renia kazała osiodłać dwa konie, bo chociaż Cesia nigdy jeszcze nie siedziała na siodle, lecz miała wielką ochotę spróbować tej przyjemności.

Gdy przyprowadzono gniadosze przed werendę, za przykładem siostry usiadła śmiało na siodle, ujęła lejce pewną dłońią i parę razy objechała z zupełnym spokojem naokoło trawnika.

— Bravo! bravo! — zawołał pan Wątownski, który stał na ganku — dzielna z ciebie będzie amazonka! prowadzisz konia śmiało, jak gdybyś od lat pięciu co najmniej uczyła się jeździć konno, suknia Reni leży na tobie jak ulana.

Cesia zatrzymała konia.

— Wszakże i moja mateczka dobrą była amazonką? — zapytała — mówiła mi często o tem.

— W istocie, bardzo dobrą — odparł pan Wątownski.

— Jestem przekonana, iż śmiałość i ochotę do konnej jazdy, po niej odziedziczyłam — rzekła Cesia.

— Nie bogate dziedzictwo — szepnęła sama do siebie Ludwika, która właśnie zjawiła się na ganku, a zbliżywszy się do pana Wątownskiego dodała głośno:

— Słyszałam, że pani Freydenowa miała wiele przymiotów; lepiej było może inny przymiot po niej odziedziczyć; słyszałam, iż miała dużo zacnej, szlachetnej ambicyi, że czynną była zawsze niezmiernie.

— Odziedziczyłam jeszcze jeden dar po mamie — rzekła Cesia — umiem przebaczać urazy i chować głęboko na dnie duszy przykre uczucia.

To powiedziawszy, uderzyła konia szpicrutą; rozgniewany gniadosz, choć spokojny, zerwał się z miejsca i pole-



ciał galopem, lecz Cesia nie straciła przytomności, poskromiła jego zapędy.

— Dzielna dziewczyna — rzekł pan Wątowski.

— Sama nie wiem co o niej myśleć — dodała panna Ludwika.

Ze to jeszcze dziecko, które potrzebuje ręki życzliwej, aby niem kierowała, nie zaś ostrej krytyki — odparł pan Wątowski.

Tymczasem Renia dogoniła siostrę.

— Byłam tobą zachwycona — rzekła do niej — odpowiadaj zawsze tak śmiało Luci, a zdobędziesz ją sobie, ona pokornych nie lubi.

— Niestety, bardzo rzadko potrafię się zdobyć na energiczną odpowiedź — rzekła Cesia. — Mimozą, to nie dąb, pamiętaj o tem. Kurcze przed jastrzębiem ucieka.

Renia rozśmiała się.

— Mogłaś zrobić dla was pochlebniejsze porównanie np. powiedziec: gołąbka przed orłem!

## ROZDZIAŁ II.

Lipiec dobiegał do końca, dzień był bardzo gorący. Renia zmęczona rannym spacerem z Cesią, drzemała w swoim pokoju, a Cesia usunęła się do siebie i, wzięwszy jakąś powieść do ręki, czytała, oczekując wezwania Reni, z którą zwykle całe dnie spędzała razem.

Wtem zwrócił jej uwagę turkot; spojrzawszy w okno, ujrzała zajeżdżający przed dwór powóz; siedzieli w nim dwie strojne młode panienki.

— Ktoś z gości — rzekła sama do siebie — pewno na obiedzie zostaną.

To mówiąc, złożyła książkę, zbliżyła się do lustra i zaczęła poprawiać włosy.

Powóz zatrzymał się tymczasem przed domem, a siedzące w nim panny, wyskoczywszy lekko, weszły na ganek i zniknęły w drzwiach sieni.

Marysia również, jak Cesia, jedna z pierwszych zobaczyła gości, lecz ona poznała jadące, pobięła natychmiast do Reni i, wpadłszy z hałasem do pokoju, zawołała:

— Panny Sędowiczówny przyjechały.

— Poproś panny Ludwiki, żeby do nich wyszła, powiedz, że jestem nieubrana — odparła Renia.

Ludwika chętnie zastąpiła Reginę, wprowadziła panny Sędowiczówny do salonu i oświadczyła, że panna Wątowska zaraz nadejdzie.

— Myśmy na chwileczkę tylko wpadły tutaj z prośbą wielką — odezwiała się starsza z pańien, Felicja, wysoka, o rysach ostrych szatynka, — objeżdżamy sąsiadów, gdyż chcemy urządzić wspólną wycieczkę na cały dzień do naszego lasu.

— I państwa chcieliśmy prosić — dodała różowa blondynka, siostra Felicji.

— Powiedz raczej Idalko, chcemy prosić — tonem mentorskim poprawiła ją Felicja.

— No tak, chcemy prosić, a raczej prosimy — rzekła z dobrodusznym uśmiechem Idalia — państwo Radniccy przyrzekli, że się stawia.

— Że wezmą udział w tej zabawie — znowu poprawiła ją Felicja.

— Że wezmą udział w tej zabawie — powtórzyła, jakby za nauczycielem lekcję Idalia.

Ludwika uśmiechnęła się mimowoli.

— Zapewne każdy, coś na tę ucztę sielankową przywieść ze sobą powinien? — zapytała.

— A jakże, a jakże — odpowiedziały jednocześnie obie siostry i poczęły razem wyliczać, co która z sąsiadek obiecała dostarczyć z prowiantów.

Naraz Felicja przerwała owo wyliczanie.

— Sądzę, że i panna Cecylia z paniami przyjedzie? — rzekła.

— Jest w grubej żalobie, gdyby odmówiła zaproszeniu, dziwiłby się jej nie można — odparła Ludwika.

— Ależ to być nie może! — wykrzyknęła Idalka — my dla niej tę wycieczkę urządzamy; wszyscy w okolicy tacy ciekawi ją poznać — dodała naiwnie.

— Więc lepiej, żeby nie pojechała, bo się rozczarują — rzekła Ludwika — panna Freyden wcale nie przyczyni się do ożywienia towarzystwa, prędzej skrepuje jego wesołość, gdyż jest mało mówiąca, nieśmiała i jak każda Niemka egzaltowana.

— Jak każda Niemka! — powtórzyły obie siostry i spojrzały na siebie, a Felicja zapytała:

— Czy uważa się za Niemkę?

— Tego nie powiedziałam, mówię tylko, że jej nieśmiałość i smutek krępować nas będzie, a nasza wesołość przykrość może jej sprawić — odparła Ludwika.

— Tańców nie będzie dla tego, żeby mogła wziąć udział w zabawie — rzekła Felicja.

— Dla tego nie będzie tańców, żeby nie odmówiła zaproszeniu — dodała Idalka — myśmy wszystkim dały słowo, że pannę Cecylię u nas spotkają.

— Idalko, mówisz jak dziecko — łajała ją siostra.

— Cóżem takiego powiedziała? — spytała zdziwiona Idalia.

Ludwika znowu się uśmiechnęła i chciała coś powiedzieć, lecz drzwi się rozwarły i do salonu weszły Renia z Cesią. Idalia bez żadnej ceremonii zwróciła ciekawe spojrzenie na Cecylię, a potem szepnęła do siostry:

— Śliczna!

Felicja ruszyła ramionami na znak, iż nie podziela jej zdania.

Renia, przeprosiwszy obie panny, iż nie zaraz wyszła do nich, przedstawiła im następnie Cesię; Felicja etykietałnie dłoń sieroty uściśnęła, Idalia serdecznie bardzo, poczem obie prawie razem opowiadać na nowo poczęły o wycieczce, jedna drugiej przeszkadzając. Renia zapewniła je, że ojciec niezawodnie się zgodzi, gdyż żniwa już ukończył i wczoraj odezwał się właśnie z uwagą, że trzeba zaniedbane stosunki sąsiedzkie odnowić; więc poczęły wspólnie układać plan wycieczki. Mieli o 8-jej rano zebrać się wszyscy w Kamionce, majątku państwa Sędowiczów, poczem na wozach drabiniastych wysłanych sianem i, jak Idalia Cesię zapewniła, okrytymi dywanami, ruszyć do lasu, gdzie na wstępie posilą się bigosem, odgrzewanym przy ognisku na polance.

— Potem — dodała Felicja — za przykładem gości z „Pana Tadeusza”, zajmiemy się grzybobraniem.

— Ale pana Tadeusza u nas nie będzie, bo go nie znamy — rzekła Idalka do Cesi.

Dziewczynka spojrzała na nią zdziwiona a potem na Renię, figlarny uśmiech, który dojrzała na jej ustach oświeciły ją, za co ma brać to odezwanie; spojrzała ze współczuciem na Idalkę i zapytała ją:

— Czy pani czytała „Pana Tadeusza” Mickiewicza?

— Mamy wszystkie dzieła Mickiewicza w domu — pośpieszyła z pomocą siostrze Felicja.

Poczem z miną obrażoną zwróciła się do Reni i dalej opowiadała, jaki jest plan wycieczki. Z tego opowiadania okazało się, iż każdy dom jakąś część prowiantów przywozi. Ludwika obiecała, że dostarczy kurcząt i sałaty. Nareszcie panny Sędowiczówny podniosły się, by pożegnać domowych, lecz Renia stanowczo opór stawiała odjazdowi i oświadczyła, że nie puści ich przed obiadem. Naciągnął właśnie z pola pan Wątowski, ten również stanowczo veto położył przeciw wypuszczeniu gości ze swego domu bez posilku; powiedział, że pod tym tylko warunkiem weźmie udział w wycieczce, jeśli panny Sędowiczówny zostaną u niego na obiedzie, uległy więc tak serdecznemu zaproszeniu.

Niebawem Jan wezwał wszystkich do stołu; pan Wątowski podał rękę Felicji, która ujęta jego uprzejmością, rozjaśniła czoło.



Podczas obiadu toczyła się dalej rozmowa o wycieczce, lecz Felicya zupełnie nie zwracała się do Cesi, tylko Idalka, która przy niej siedziała, szepnęła parę razy:

— Zobaczysz pani, jak się dobrze zabawimy!

Ani przez myśl jej nie przeszło, że powinna się czuć obrażoną.

Nareszcie powstali od stołu. Felicya przeprosiwszy, że odjechać muszą zaraz po obiedzie, bo jeszcze w kilku miejscach być dziś powinny, pożegnała wszystkich serdecznie, wyjąwszy Cesię, której, rękę podając chłodno, nawet nie zapytała, czy weźmie udział w majówce.

Zastąpiła ją Idalia, ta najprzód zwróciła się do Cesi z uśmiechem serdecznym.

— I pani przyjdzie także do nas, prawda, że pani przyjdzie? — rzekła.

— Spodziewam się — odparł za siostrzenicę pan Wątownski — nie pozwoliłbym jej zostać w domu.

Cesia ucałowała serdecznie Idalię.

— Wuj odpowiedział za mnie — rzekła.

— Potrzebnieś ty zapraszała tę pannę Freyden — odezwała się Felicya do siostry, gdy powóz ruszył — czyż nie słyszała co panna Walęcka o niej powiedziała?

— Co takiego? doprawdy nie słyszałam — odparła Idalka.

Felicya ruszyła ramionami.

— Możesz i tego nie słyszała, jak ci docięła, że nie wiesz, kto to był pan Tadeusz?

Idalia spojrzała zdziwiona na siostrę.

— Ona mi tylko chciała przypomnieć, że Pana Tadeusza napisał Mickiewicz — rzekła — jest śliczna i dobra, gdyby nie ta rozmowa, z pewnością palnęłabym to głupstwo przy wszystkich w lesie i śmieliby się ze mnie; panna Cecylia nie śmiała się, bardzo mi się podobała.

Felicya ruszyła ramionami.

Sobota szybko nadeszła; już o 7-ej rano Idalia i Felicya ubrane w błękitne muśliny i świeże kwiaty, wyszły przed dom, wypatrując gości. Zjeżdżać się też zaczęli niebawem, obszerna werenda zapelniła się aż po brzegi, starsi cofnęli się przeto do salonu i tam poważną zabawiali się rozmową; młodzież wypatrywała tych, co jeszcze nie przyjechali, brakło bowiem kilku osób.

— Czeka dziś państwa niespodzianka, poznać śliczną osobkę i dobrą, ach! jak dobrą — odezwała się naraz Idalia.

— Któż to taki? — zapytała ją najbliższej siedząca Julia R., jedna z pańienek z sąsiedztwa.

— To tajemnica, nie powiem — odparła Idalia.

(d. c. n.)

Najdłuższy tunel na świecie. — Jakich używano materiałów do pisania.

W Ameryce, w stanie Colorado, rozpoczęto roboty nad budowę tunelu, który, przechodząc pod górą Pikes-Peak, będzie największym z istniejących dotychczas tuneli na świecie. Tysiące robotników pracuje przy nim; koszt budowy obrachowane są na 20,000,000 funtów sterlingów (1 funt ster. = 10 rub.). Główny tunel wynosić będzie 20 mil ang. długości, kilka zaś bocznych po 30 mil. Olbrzymie to przedsięwzięcie ma być ukończone za lat 7, a wtenczas wszystkie główne miasta i osady tej okolicy bogatej w kruszcę, niezmiernie ułatwioną będą miały komunikację.

Pierwszymi materiałami piśmieniem, jakich używali ludzie w zamierzchłych czasach przedhistorycznych, dla uwiecznienia swych myśli, był wygładzony kamień lub kora drzewa. Z postępem czasu wyłabiano znaki na tabliczkach glinianych, które następnie wypalano w ogniu jak naszą cegłę. Były one wszakże ciężkie, więc niedogodne w przenoszeniu, zastępowano je przeto tabliczkami z kruszczu, kości słoniowej, drzewa, lub też liśćmi roślin. Mianowicie te ostatnie znalazły szerokie zastosowanie. U Egipcyan, którzy przed wielu tysiącami lat w przemyśle i naukach wyprzedzili znacznie inne współczesne sobie ludy, powszechnie używano *papyrusu*, który był korą pewnego gatunku trzciny, rosnącej nad Nilem. Kora ta, po odpowiednim przysposobieniu i wygładzeniu, stawała się miękką, cienką i łatwo dającą się związać. Z krainy Faraonów użytek oraz sposób wyrobu papyrusu przeszedł do Grecyi i do Rzymu, a przez jak długie wieki utrzymał się tutaj, dowodzą fakta, że pierwsze bulle papieżkie, a także ustawy niektórych królów frankońskich jeszcze na papyrusie spisane były.

Jednakże obok tego materiału, zarówno starożytni Rzymianie jak Grecy używali do pisania tabliczek, pokrytych cienką warstwą wosku, a chętniej jeszcze skór kozłich baranich i jagnięcych, odpowiednio wyprawionych, zwanych *pergaminem* od miasta Pergamo, gdzie ten przemysł najwięcej się rozwinął. Znacznie już później, bo w wiekach średnich wprowadzono w handel *welin*, bielszy, miękniejszy i gładniejszy, który przygotowywano ze skór cielęcych. Wynaaleziony w tymże czasie przez Chińczyków i do Europy dowieziony *papier bawełniany* okazał się tak kruchym, iż go w 1221 roku cesarz niemiecki, Fryderyk II zabronił używać do spisywania aktów. Pergamin więc i welin utrzymały się, aż do XII wieku, t. j. do czasu, w którym pojawia się papier ze szmat lnianych, a wyrób jego coraz udoskonalaony, daje nam materiał, gładki, lekki, a przedewszystkiem tak tani, iż stał się dostępnym nawet dla najbiedniejszych.

#### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3½ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Lipiec i sierpień, wiersz (z ryc.) — Z dziejów cywilizacji przez Wł. Umińskiego (c. d.) — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów (c. d.) Biblia ks. Wujka (z ryc.) — Ryciny do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.” Miłość ojcowiska przez T. J. — Wzajemna pomyłka, powieść przez Teresę Jadwigę (a. d.) — Ze świata. — Dodatek: Noc świętojańska (z ryc.) — Pogadanki naukowe przez A. Z. — Co się to stało, wiersz przez Irenę Mrozowicką. — Skrzydła odwagi (c. d.) — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek książkowy: Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerya Marrené.



# WIECZORY RODZINNE

## NOC ŚWIETOJAŃSKA.

Rodzice moi mieszkali na wsi. Było nas dzieci dwoje, ja i Zygmus. Kochaliśmy się ogromnie, nie rozstawaliśmy się nigdy. Nie uczyliśmy się jeszcze wtedy ani czytać, ani pisać, pilnowała nas niania, stara, poczciwa Weronika. Zygmus miał serce złote i żywy był jak iskra, na miejscu usiedzieć nie mógł i wtedy się tylko uspakał, kiedy niania bajkę opowiadać zaczynała.

Razu jednego, było to właśnie jak dziś 23 czerwca, rodzice nasi odebrali niespodziewanie telegram, wzywający ich do babki. Zrobił się hałas, zamęt, spakowano rzeczy i dom opustoszał; rodzice wyjechali. Zostaliśmy sami; nie szła nam zabawa, a Weronika widząc, żeśmy posmutnieli, zawołała nas do siebie:

— Chodźcie, moje ptaszyny — rzekła — mamusia niedługo wróci, a ja wam tymczasem opowiem śliczną bajeczkę.

Zygmusiowi zaraz oczy zaświeciły; usiedliśmy wszystko troje na ławeczce i niania zaczęła nam opowiadać o cheiwcu, który znalazłszy kwiat paproci, odkrył wielki skarb.

— Nianiu, czy to naprawdę paproć kwitnie? — zapytał Zygmus.

— Kwitnie o północy, w wigilię św. Jana; maleńki kwiatusek się pokaże, a jak go nikt nie zerwie, to się rozsypuje i znowu rok na niego czekać trzeba.

— To jużby trzeba na całą noc pójść do lasu.

— Tak, ale nikt nie idzie, bo strach.

— Jabym się tam nie bał — odrzekł śmiało chłopczyk.

— A chciałbyś skarb znaleźć? — zapytała, śmiejąc się, niania.

— Nie, drugiej mamy, drugiego tatusia, drugiej Helenki nie kupię. Mam nianię, wózek, konika, dwa psy i dużo ładnych rzeczy, nic mi nie potrzeba.

— No to i dobrze — rzekła i opowiadała dalej:

— No cóż, ładna bajeczka? — zapytała, kończąc.

— A śliczna, nianiu, dziękujemy.

Rozweseliliśmy się i poszliśmy biegać po ogrodzie. Biegamy, biegamy, aż tu słyszymy jakiś płacz. Zaglądaliśmy przez płot, na drodze stoi Weronika z Walentową. Walentowa opowiada coś i płacze, a Weronika wzdycha i obciera oczy.

— O moi serdeczni — mówi Walentowa — ciężka to bieda, jak człowiek niema grosza przy duszy. Dziewczyna ciągle mi chora, syn dziś siekierą nogę sobie skaleczył, tak, że ze trzy tygodnie stąpić nie będzie mógł; jutro św. Jana... Co pocznę nieszczęśliwa! Jak mi krowę sprzedadzą, chyba z głodu przyjdzie umierać. Tom ledwo uprosiła, żeby się jeszcze ten kwartał nad biedną wdową zlitowali, myślałam, że zapracuję, ale jak tu

pracować jak ciągle choroba w domu, a na lekarstwo grosza niema. Oj bieda, bieda!

Weronika pociesza ją, ale Walentowa dalej zawodzi:

— Jak przyjdzie zima, to zginiem od chłodu i głodu. Z czego ja dzieci wyżywię i przyrodzieję, a tu jeszcze i długi płac.

Patrzę na Zygmuta, a jemu w oczach stoją grube łzy. Weronika wydobywa z węzełka jakiś datek, którym Walentową obdarza.

— A zajrzyjcie do nas — mówi Walentowa — moja dziewczyna ciągle o was pyta, a to i ranę chłopcu opatrzyjcie, bo wy do tego bardzo zręczni.



— Zajrzę, zajrzę — odpowiada Weronika, — ino dzieci spać ułożę.

Wracamy do domu, niania daje nam wieczerzę i prowadzi spać, Zygmus jakiś milczący i zamyślony.

— Dobranoc nianiu, dobranoc aniołku, Zygmus to już śpi pewnie, bo się nie odzywa. Niania wychodzi do kuchni i przez otwarte drzwi słyszę jak mówi kucharce:

— Moi drodzy, ja pójde opatrzeć syna Walentowej, a wy uważajcie na dzieci, jakby się które ruszyło... śpią w sypialni państwa.

— Dobrze, dobrze — odpowiada kucharka — położę się w sieni, bądźcie spokojni.

Zasypiam.



— Helciu, Helciu! — woła, trącając mnie Zygmus.

— Czego? — pytam, budząc się.

— Wstań przedziutko, dziś wigilia św. Jana, pójdziemy do lasu, znajdziemy kwiat paproci.

— No i co? — pytam półsennie.

— Nie słyszałaś, co dziś opowiadała niania? Będziemy wiedzieli, gdzie są zakopane pieniądze i poratujemy Walentowę.

Widzę, że się Zygmus ubiera, więc ubieram się także. Zygmus otwiera cicho okno i wychodzimy na dwór. Ach! pyszna była noc! Niebo takie piękne, ciemno-szafirowe, a gwiazd na niem tysiące, miliony...

— Widzisz — mówi Zygmus — te gwiazdki to dziurki w niebie, a ja sobie myślę, że Pan Bóg dlatego tyle dziurek narobił, aby na wszystkich ludzi mógł patrzeć. Z jakiej też gwiazdki Bóg na nas patrzy? Nie wiem, ale pewnie rad jest, że idziemy ratować biednych.

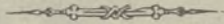
Idziemy więc. Wokół cisza wielka i wielki spokój; księżyc oświeca ściany budynków; lśnią się krople rosy na łąkach, z daleka rysuje się ciemny las.

— Zygmusiu, czy my sami pójdziemy?

— A bo ty się boisz?

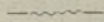
— A ty Zygmusiu? — pytam zdziwiona jego śmiałością, bo choć przy nim byłam zawsze odważna, ta cisza tajemnicza robiła na mnie wielkie wrażenie. Zygmus odpowiada poważnie:

(d. n.)



A. Z.

## POGADANKI NAUKOWE.



I.

Ciepłe promienie słońca stopiły ostatnią grudkę lodu i zaraz na świecie zrobiło się zielono.

Na polach wykiełkowały zboża, na łąkach rozrosła się trawa, drzewa otuliły się liśćmi, a stawy zaszumiały tatarakiem.

Z dniem każdym słoneczko coraz lepiej dogrzewa i z masy zieleni wychylają się coraz to jakieś kolorowe główki: żółta ognicha, różowa babka, niebieskie żabie oczka i t. p. wiejskie chwasty, — po wiejsku poprostu tak nazywane.

Wyrastają też znane wszystkim białe konwalie i czerwone maki, piękne lilie wodne i wspaniałe ogrodowe róże. I tak tydzień za tygodniem od pierwszych dni wiosny, do ostatnich dni jesieni coraz coś nowego zakwita.

Łąki i pola niby ogromne różnobarwne dywany, a drzewa i krzaki, jak olbrzymie bukiety.

A lasy? jakie one piękne! małe krzaczaste sośninki trzymają się tu jeszcze przy ziemi niby gromadka małych dzieci; młode jasne brzoźki, jak panienki wyrosły już prościutko i rozpuściły warkocze, a coraz wyżej, wielkie rozrosłe drzewa w złotym słońcu liście kąpią, osuszają się wiatrem i do samego nieba zagląдают.

A jaka rozmaitość tej zieleni, jakie tu niezliczone odcienie. Od ciemnej igiełki jodły, do złotawego listka topoli, od ciemnego żdźbła pszenicy, do białej trawki ogrodowej, wszystko od siebie odmienne, choć niby wszystko zielone.

A formy tych liści, a kształty tych krzaków i drzew! Jaki inny liść paproci, od listka gruszy; jaki odmienny dąb wielki od drzewka jarzębiny?

Na białych schodkach przed oknem mały, zielony świeatek stoi. Chroniony w zimie od mrozu, a w lecie od zbytniego upału, pięknie rośnie i kwitnie. Fuksya okryła się długimi kolczykami, różyczka się rumieni, pelargonja płonie, jakby z ognia rozwinęła kwiatki, a mirt jak śniegiem osypał się cały. Tylko czekać jak się biała lilia rozwinie, jak niebieskie dzwonki zabłysną.

A jak to wszystko prędko rośnie. Dwóch lat jeszcze niema cały ten mały świeatek. A z czego się to rozrosło? Z małych gałązek włożonych w ziemię.

Ale to nic jeszcze w porównaniu z garstką zołędzi, z których wyrasta las cały. Ach, to już cud prawie, wielki cud Boży!

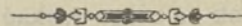
Ale i ziarnko zboża, taki sam cud przedstawia, bo tak samo kiełkuje, rozwija się i wzrasta.

Człowiek tego utworzyć nie zdoła, ale na to dał mu Bóg wzrok i rozum, aby patrzył i badał co dojrz.

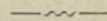
Czy chcesz poznać choć w części ten zielony świat, co cię otacza?... czy chcesz zrozumieć dla czego żyje i rośnie? z czego się składa piękny kielich lilii i ziarnko kolorowej fasoli? kto komu krewny? Kto jakie zamieszkuje okolice?

— O, bardzo chcę!

— Więc słuchaj uważnie.



### Co się to stało?



Co się to stało, nie powiem nikomu  
Bo o milczenie prosi mnie Halinka —  
Ale to pewna, że dziś w całym domu  
Smutno — i smutna u panienki minka.

Coś tam podobno zawiniła bona,  
Która starannie myje wszystkie dzieci!  
I szklanka jakaś była dziś stłuczona...  
Lecz któż jej winien, że ze stołu leci?

Co najsmutniejsze, że w drugim pokoju  
Właśnie dla tatki już podano kawę —  
Tatko śniadanie lubi pić w spokoju,  
A dzisiaj trafił na największą wrzawę...

O! tak się jakoś wszystko poskładało,  
Jakby umyślnie, na przekór Halince.  
Lecz ja nie powiem wcale co się stało —  
Bo tajemnicę przyrzekłam dziewczynce.

Irena Mrozowicka.





# SKRZYDŁA ODWAGI.

(Dalszy ciąg).

— Ratujcie! ratujcie! — błagał rozpaczliwym głosem tonący. Marcinek dla nabrania oddechu zatrzymał się na sąsiedniej skale, niewielka już przestrzeń dzieliła go od nieszczęśliwego rozbitka, a przy świetle porannego brzasku, poznał w nim rzeczywiście niedobrego krawca, o którym zachował tak niemiłe wspomnienie.

— Nie poruszaj się, czekaj spokojnie — zawołał chłopiec.

Ale przestroga była daremną; mańkut nie zrozumiał słów, zrobił ruch jakby wyciągał do Marcinka rękę i puścił się skały, a fala w jednej chwili uniosła go i znikł w głębi morza.

Chłopiec na sekundę zawahał się przed grozą śmierci. Przypuszczał, że gdy podaży krawcowi z pomocą, ten uczepi się go nieprzytomnie i pociągnie za sobą w otchłań. Czyż miał umierać tak młodo! niosąc bezskuteczny może ratunek złemu, podstępnemu człowiekowi! Takie poświęcenie wydało się Marcinkowi nad siły. Namyslał się chwilę, ale chwilę bardzo krótką.

Przypomniały mu się skrzydła odwagi, i Boga wezwawszy na pomoc, przeżegnał się i śmiało skoczył w spienione fale.

Nie pamiętał później, jakim sposobem odnalazł krawca pod wodą, jak zdołał uniknąć jego uścisków, mogących obezwładnić mu ruchy, jaką siłą oparł się unoszącym ich prądom wody, i jakim cudownym sposobem znalazł się szczęśliwie z powrotem na szczycie wzgórza, z głową wspartą ze znużenia na piersiach zemdłego krawca.

Wszystko minęło prędko jak we śnie; Marcinek złożył nabożnie ręce i zawołał z rozrzewnieniem:

— Dzięki Ci, Panie Niebieski! bez Twego natchnienia i pomocy, nie byłbym spełnił obowiązku człowieka-chrześcianijna, zostałbym niekczemnym tchórzem.

Zajął się następnie trzeźwieniem krawca; położył go na bok, pochylił mu głowę, iżby mógł łatwiej oddać wodę, przepelniającą mu wnętrzości, tarł go z całej siły, póki oddychać nie zaczął swobodniej. Po pewnym czasie topielec odzyskał zmysły, nie mógł jednak przemówić i krzychał przeraźliwie, doznając przykrego zaduszenia w piersiach.

— Bądź dobrej myśli — pocieszał go chłopiec — cierpienia twoje wprędce miną i cała przygoda na strachu się skończy.

Jakoż w kwadrans później, krawiec grzał się przy ogniu rozpalonym przez chłopca i suszył przemokłe odzienie, rozpowiadając, jakim wypadkiem znalazł się na wybrzeżu.

— Od jakiegoś czasu — mówił — zarobek mój nędznym był bardzo, z chwilą więc, gdy cię ujrzałem przystrojonym w czaple pióra, przemyślałem ciągle nad tem, aby wykryć gdzie w naszej okolicy gnieźdzą się te ptaki. Widziałem wprawdzie kilka czapli krążących nad ową nieszczęsną skałą, ale nie miałem odwagi zbliżyć się

do tych niebezpiecznych wybrzeży i nie miałem ochoty tak jak ty, dyabłu duszę zaprzedać.

— Panie krawcze — przerwał Marcinek surowo, podając mu flaszkę z wódką — napij się jeszcze trochę, bo widocznie potrzebujesz orzeźwienia i rozjaśnienia w głowie, skoro możesz przypuszczać, że ja duszę dyabłu zaprzedałem, a nie szukam raczej w niebie patronów i opiekunów przy każdym trudniejszym przedsięwzięciu.

Krawiec chętny zawsze do kłótni, tym razem pokornie spuścił głowę.

— Przepraszam cię, kochany Marcinku — rzekł słodziutkim głosem — źle się wyraziłem; wiem przecież, że twoja to jedynie zasługa, iż jeszcze oglądam świat Boży, chęć bowiem zarobku, o mało nie pozbawiła mnie życia.

Wczoraj z pustkami w żołądku i w kieszeni, postanowiłem raz jeszcze próbować szczęścia i szukać piór czaplich na wybrzeżu. Dla dodania odwagi za ostatnie kilka groszy kupiłem wódki, wypłem ją nad ranem i czy to, że miarę przebrałem, czy też zły duch takiego chciał mi sptać figla, dosyć, że mi się w głowie zakręciło, nogi nie mogły się utrzymać na obślizgłej od deszczu skale i byłbym marnie zginął, gdybyś nie pospieszył w porę z pomocą.

— Skoro mi Pan Bóg dozwolił uratować cię od śmierci — odezwał się Marcinek — chciałbym ci dopomóc panie krawcze, abyś nadal bez chodzenia po niebezpiecznym dla ciebie wybrzeżu, mógł zarabiać na życie. Masz tu dwa talary — dodał poczciwy chłopiec, wyjmując pieniądze z kieszeni — to cię uchroni na parę dni od głodu, później zaś zbieraj pożyteczne zioła dla apteki, których wiązkę widzisz na tym koszu. Tym sposobem możesz znaleźć uczciwy zarobek, ptaki zaś zostaw w spokoju; nie dozwolę, abyś na nie zastawiał sidła lub wybierał młode z gniazda.

— Przecież te ptaki — odparł krawiec z przybraną łagodnością — nie stanowią wyłącznie niczyjej własności. Widzę w tym koszu piękne czaple, które zapewne do ciebie należą, skoro je pochwytiłeś, ale musi być ich dużo w tych stronach; gdybyś miał litość nad biednym człowiekiem, powiedziałybyś mi, gdzie się ukrywają.

— Niewdzięczniku — przerwał Marcinek z oburzeniem — mimo wyświadczonej ci przysługi nie masz ochoty zadość uczynić memu żądaniu i trwasz w zamiarze tępienia niewinnych stworzeń, które wzięłem w opiekę. Nie minie cię za to kara. Ot, widzisz co cię czeka, jeśli poważysz się wejść na którą z tych skał nadbrzeżnych.

— Co takiego? — spytał krawiec niedowierzająco.

— Czy nic nie słyszysz?

— Słyszę huk grzmotu w pobliżu.

— Nie grzmot to bynajmniej, ale odgłos obrywającej się skały; uciekajmy stąd, bo nie mamy czasu do stracenia.

(d. n.)



## SZARADA

Konwalia leśna dla Lilijki.

*Pierwsze* znajdziesz w alfabecie,  
W mitologii *pierwsze, trzecie*:  
Bóstwa to kraju wschodniego,  
Co ludzi chronią od złego.  
*Druga, czwartu* — splawna rzeka,  
Znana, chociaż stąd daleka;  
Po jej wodach statki mnogie  
Wiozą ku nam futra drogie.  
*Wszystko* w codziennem użyciu  
Służy paniom ku okryciu;  
Na ulicy, czy w ogrodzie  
Masz jej pełno, bo jest w modzie.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Początkowe i końcowe litery określić mają czyja i jaka jest to praca.

Znaczenie wyrazów: 1) Miasto w Sycylii. 2) Przydomek Jákoba patryarchy. 3) Jezioro w gub. Finlandzkiej. 4) Rzeka w Niemczech. 5) Okres dziesiątek lat. 6) Miasto n. Bosforem. 7) Rzeka w Afryce połud. 8) Zwierzę czczone w Egipcie. 9) Dawne księstwo we Włoszech. 10) Poprzeczny drąg u masztu. 11) Góry w Afryce. 12) Kraj w Ameryce. 13) Stan i rzeka w Ameryce.

Sylaby: A—a—al—be—ba—cli—e—el—i—ja—ler—la—li—ment—ma—mo—na—pa—pis—pie—ren—ri—re—re—sku—ta—tla—wiek—zra—zam—zi.

## ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

Zastąpić kropki literami, aby pierwszy wiersz oraz pierwsze litery złożyły nazwę rzeki we Francji, rząd. 2) Dopływ Elby. 3) Mahometańska świątynia w Mekce. 4) Obwieszczenie król. o grożącej wojnie. 5) Tytuł dowódcy jańczarów. 6) Wykrzyknik. 7) Samogłoska.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 28-go.

*Zagadki 1-ej*: Tur — Rut. *Zagadki 2-ej*: Cień.

## Łamigłównki kropkowanej:

Był dzień patrona, uroczyste święto:  
Komtury z Braćmi do stolicy jadą;  
Białe chorągwie na wieżach zatknięto:  
Konrad rycerzy ma uczyć biesiadą.  
Sto białych płaszczów powiewa za stołem,  
Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi:  
To byli Bracia; a za nimi kołem  
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

## Łamigłównki w kwadracie:

W i l e j k a  
F i d y a s z  
B a l l a d a  
K a r a i b y  
Z i e l n i k  
S e n a t o r  
M o h i l e w

## Skrzynka do listów.



Bardzo radzi jesteśmy, że wierszyk podobał ci się **Janinko**, skoro nauczyłaś się go na pamięć. Nie żał pracować dla tych, którzy z pracy naszej korzystać umieją. Oczekujemy zapowiedzianego listu i mamy nadzieję, że znajdziemy w nim dużo ciekawych szczegółów z wycieczki twojej.

Łamigłównki i zadania własnego układu nadesłali. **Tadeusz L. Sz. X. i Perełka.**

**Tadeuszowi L.** stosownie do żądania donosimy, że pojedynczy numer „Wieczorów” kosztuje kop. 10.

Dobre rozwiązanie zagadki nadesłały: **Jadzia i Genia M.**

Chętnie zaspakajamy ciekawość naszych młodych czytelników. zwłaszcza gdy się ona tyczy spraw ogół obchodzących. Pytasz **Heniu K.** czy po za kopalniami węgla, soli, rud żelaznych, galmanu, siarki, o których słyszałaś, że w kraju się znajdują, posiadamy kopalnie cenniejszych kruszców? Mieliliśmy dawniej, zniszczone obecnie kopalnie srebra. Już za panowania **Kazimierza Wielkiego** zaczęły słynąć srebrodajneminy **Olkusza**, z czasem jednak, wskutek złej administracji, kopalnie w coraz gorszym znajdowały się stanie, a wojny szwedzkie przywiodły je do upadku. Zniszczone ostatecznie zostały wylewem rzeki **Baby** r. 1674, zamulającym sztolnie i zalewającym wodą wszystkie szyby. Późniejsze, przez górnictwo rządowe czynione usiłowania, aby podnieść upadłe kopalnie, nie zdołały doprowadzić ich do dawniejszego kwitnącego stanu.

Chcesz wiedzieć **Karolku T.** jakie ma znaczenie ów klub dla grzecznych dzieci, o którym donosiły dzienniki. Mądrze to za granicą obmyślane Towarzystwo, każdemu przyjętemu do swego grona dziecku daje na wstępie kartę z napisem: „Nie czyn drugiemu, co nie chcesz, żeby tobie czyniono.” Na odwrotnej stronie karty wypisany regulamin, jak się dziecko grzecznie i przyzwoicie na zebraniach zachowywać powinno, a jeśli które przepisom tym uchybi, zaraz z Towarzystwa bywa wykluczone i pozbawione wspólnych zabaw z rówieśnikami. Czyż taki klub nie jest dobrą szkołą grzeczności?

Nie dziwimy się, że wybrałaś sobie pseudonym **Wiewiórki**, skoro tak lubisz orzeszki, że dziś już przezornie obierasz leszczynę z robactwa, aby ci więcej wydała owoców. Przezorność taką nietylko do krzaków leszczynowych stosować powinnaś; wszędzie i zawsze staraj się zawczasu zapobiegać złemu, a niemalą z tego osiągniesz w życiu korzyść. Cieszymy się, że czas wakacyjny schodzi ci przyjemnie; używaj chwili wypoczynku i swobody, aby później z tem większą ochotą zabrać się do pracy.